

PORTRET ONLINE 52 - MAJ 2009

Veronica postanawia opowiedzieć

Każda rodzina ma swoje tajemnice. Brzmi banalnie, prawda? Ale czy nasze życie nie składa się z banalów? Czy naszemu życiu nie są potrzebne banalne czynności, powtarzalność? Czy nie cieszy nas to, co proste i normalne? Normalność. Słowo – klucz powieści Anne Enright. Jego definicja może nastroczać trudności, ale w kontekście „Tajemnicy rodu Hegartych”, godne przypomnienia wydają się być słowa Jonathana Carrola: „Normalność to pierwszy symptom śmiertelnej choroby”. To, co z zewnątrz przypomina coś zwyczajnego i przeciętnego, wewnątrz może być zupełnie inne. Rodzina, która ładnie wygląda na przysłowiowym zdjęciu, może okazać się rodem, który kryje mroczne sekrety.

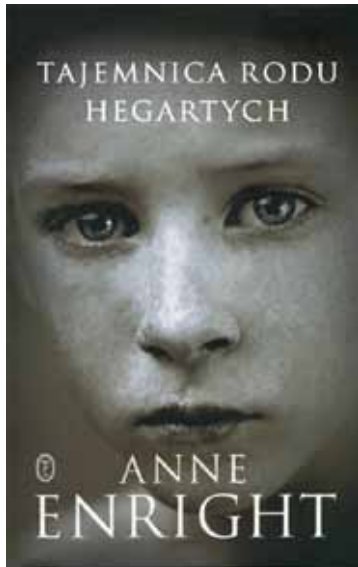
„Boże, jak ja nienawidzę swojej rodziny, tych ludzi, których sobie nie wybierałam do pokochania, a i tak Kocham” – słowa narratorki, Veroniki, „środkowej” córki z 12 dzieci państwa Hegartych, są doskonałym podsumowaniem jej relacji. To książka pełna miłości, która prowadzi do nienawiści. Nienawiści, której motywem jest wielka miłość. Veronica przedstawia subiektywną historię swojego rodu i usiłuje „dać świadectwo niepewnej sytuacji”, aby wyjaśnić przyczyny samobójczej śmierci ukochanego brata, Liama. Veronica wie bowiem coś, czego nie wie reszta rodziny. Wie, kiedy zostało zasiane „ziarno śmierci” jej brata.

Ta książka, wbrew temu, co napisał „The Times”, nie zachwyca. I nie wzsusza, wbrew opinii polskiego wydawcy. Ta książka zaskakuje. Oryginalność stylu i wspaniała zabawa konwencją, a właściwie zerwanie z nią, sprawiają, że „Tajemnicę rodu Hegartych” czyta się w napięciu i maksymalnym skupieniu. Nie ma tu miejsca na nadmierną ekliwość, chociaż autorka pozwala swojej bohaterce na chwilę nostalgii. Ta książka poraża. Charakterystyczne dla stylu Enright jest bowiem to, że od nostalgiczności z niesamowitą prostotą przechodzi do brutalnej ironii. Nie oszczędza swojej rodziny, wytykając błędy swojej babce, rodzicom i rodzeństwu. „Na studiach zrozumiałam, że Ada była – ujmując rzecz dosadnie – prostytutką” – w ten, dość bezkompromisowy, sposób poznajemy pierwszy sekret rodziny Veroniki. I chociaż wszystko zawsze oscyluje na granicy niedomówień i niczego nie możemy być pewni (bo sama narratorka nie jest!), to z kolejnymi stronicami odkrywamy nowe karty w historii rodziny Hegartych. Veronica nie staje się jednak

naszą przewodniczką po tym dziwnie świecie, ale razem z nami go odkrywa, na nowo szukając powiązań między zdarzeniami i osobami.

Fabula powieści Anne Enright wydaje się być dość chaotyczna i fragmentaryczna. Autorka łączy wątki, przeplata rzeczywiste wydarzenia z tymi, których Veronica się jedynie domyśla („Pewna jestem tylko tego, czego nie widziałam”), prowadzi jednocześnie dwie płaszczyzny narracji. Nie należy bowiem zapominać o tym, że „Tajemnica rodu Hegartych” jest również książką o samej Veronice. Jej życie, tak zwyczajne i udane, z mężem, dwoma córkami, pięknym domem i luksusowym samochodem, okazuje się nie przynosić jej radości. Bohaterka cierpi prawdopodobnie na depresję, nie umie sobie poradzić z własnymi wspomnieniami, naprawdę dobrze czuje się tylko sama ze sobą, w swoim własnym świecie, który nazywa „szalonym”. Zbudowała swoim dzieciom dom, który znacznie różni się od tego, który zna ze swojego

50027 ONLINE 52 - MAR 2009
PORTRET ONLINE 52 - MAR 2009



dzieciństwa. Urodziła tylko dwoje dzieci, ich mieszkanie jest stylowe i przytulne, a pokoje „zgrabnie przechodzą jeden w drugi, w amfiladzie”. Jakże inny jest on od rodzinnego domu Hegartych, który składał się przede wszystkim z dobudowanych pomieszczeń i ciągle w nim było za mało miejsca dla wszystkich dzieci! To jednak nie sprawia, że Veronica czuje się bezpiecznie. Po śmierci Liama rany z przeszłości okazują się niezabliżnione...

Specyfiką polskiego tłumaczenia jest nadanie książce dość jednoznacznego tytułu. Oryginalny pozostawia więcej miejsca na interpretację i pozwala na znalezienie nowych płaszczyzn odczytywania tej powieści. „The gathering” to „zgromadzenie”, „zebranie”, co oczywiście może być prostym nawiązaniem do zjazdu rodzinnego, którego przyczyną był pogrzeb Liama. Jeśli jednak pozwolimy sobie na luźniejsze odwołanie i przetłumaczymy tytuł jako „zbieranie”, a nawet, idąc dalej tym tropem i zaglądając do słownika medycznego, uznamy „gathering” za „zbieranie się ropy”, to możemy zacząć postrzegać tę książkę jako opowieść o narastających problemach, o tym, jak nierozwiązane mszczą się po latach. Każdy ma swój wrzód. Nie jest to przyjemne porównanie, ale po lekturze tej książki, wydaje się ono trafne. Bolesne wspomnienia, przykre doświadczenia są właśnie niczym ropa, która się zbiera i gromadzi. Kiedy ów wrzód pęknie, skutki okazują się być zaskakujące.

„Tajemnica rodu Hegartych” zdobyła w 2007 roku prestiżową Nagrodę Bookera. Tak jak „Hańba” Coetzee, osiem lat wcześniej. Dlaczego przywołuję ten tytuł? Ponieważ powieść Anne Enright ma z nią wiele wspólnego. Znamienne wydaje się być to, że obie książki zawierają element „haniebny”, „wstydlivy”. Być może oznacza to, że współczesna literatura powinna się z większą uwagą pochylać nad tego rodzaju problematyką. A może po prostu oznacza to, że najbardziej przemawia to, co intymne i jednostkowe. To, co ukryte przed światem i to, co dostępne niewielu.

Nie jest to łatwa w odbiorze książka i na pewno należy przeczytać ją więcej niż jeden raz. Bo choć wydaje się, że kolejna powieść o rodzinie nie może przynosić żadnych odkrywczych treści, to okazuje się, że jest wręcz odwrotnie. Anne Enright nie uznaje tematów tabu i nie boi się pisać wprost o tym, o czym większość woli milczeć. „Tajemnica rodu Hegartych” nosi znamiona powieści psychologicznej, a jednocześnie autorce udało się nie ulec pokusie moralizowania. Enright nie wskazuje winnego krzywd, które stały się przedmiotem rozważań narratorki, ani nie sili się na wyciąganie wniosków z historii Liama i Veroniki. Pozwala natomiast, by czytelnik dzielił z bohaterką jej niepokoje i towarzyszył jej w odkrywaniu

prawdy o niej samej. Momentami chłodna narracja kryje treści, które wymagają głębokiej refleksji. „Tajemnica rodu Hegartych” to powieść, która zasługuje na uwagę. I proszę nie sugerować się słowami autorki, która powiedziała: „Moja powieść jest odpowiednikiem hollywoodzkiego wyciskacza lez”. Nie ma tu ani hollywoodzkiej sztampy, ani odpowiednika czegokolwiek. Jest oryginalny styl i mnóstwo kontrastów. Jest zadziwiająca szczerłość i poruszająca prostota. Jest gorzka prawda i pomysłowa narracja. To powieść z górnej półki. Dbajmy, by się nie kurzyła.

*Anne Enright,
 Tajemnica rodu Hegartych,
 tłum. Anna Kolyszko,
 Wydawnictwo Literackie,
 Kraków 2008.*



Beata Glińska

Śmiech to zdrowe spojrzenie

Zdaniem mojego kolegi rzeczywistość uwielbia robić sobie z ludzi żarty. Nie wiem skąd mu się to wzięło. Może przeczytał to w jakiejś książce? A może sam sobie jakoś wyduł niezadowolony z kolejnej zmiany w swoim życiu. Nieważne. Istotne jest to, że po lekturze „Nikogo nie ma w domu” Dubravki Ugresić stwierdziłam, że może mieć rację. Rzeczywistość sobie z nas żartuje, ale żeby to dostrzec potrzebujemy odpowiedniej dozy wrażliwości i odpowiednio szeroko otwartych oczu.

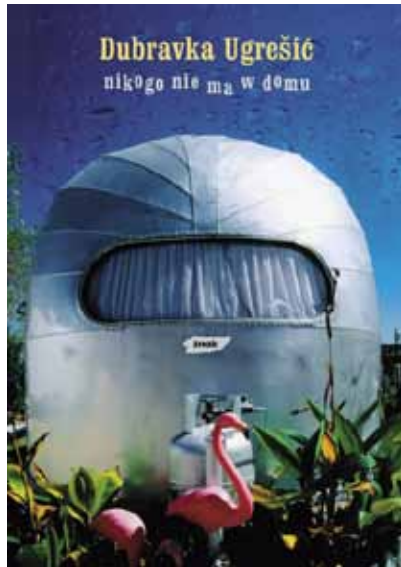
Książka to zbiór esejów pisanych do czerwca 2005 roku. Eseje dotyczą dosłownie wszystkiego: od narodowych stereotypów, przez wojenne zbrodnie, do podobieństwa proroka Mahometa ze współczesnymi celebrytami. Jednakże wszystkie one pokazują jedno: absurdy rzeczywistości w której przyszło nam żyć. W dodatku absurdy, których na co dzień nie dostrzegamy, bo nie chcemy ich widzieć. Wolimy myśleć o sobie jako o ludziach tolerancyjnych, światłych, indywidualistach poszukujących własnej ścieżki, a każdy esej pokazuje, że myślimy według utartych szablonów stworzonych dawno temu przez Nich. Tylko Oni to My, więc nie możemy się nawet przeciw Nim buntować. Jesteśmy ograniczeni przez własne myślenie, a raczej jego brak, przez konformistyczną chęć dopasowania się do innych, przez irracjonalne marzenie o zostawieniu po sobie śladów na ziemi w postaci blogów, pamiątek.

Szczególnie interesujące jest podejście autorki do tożsamości narodowej. „W ostatnich latach ilekroć słyszę słowo tożsamość reaguję alergicznie. [...] Mnie można sobie wyobrazić jako osobę, która jest uczulona na pszczoły, a mieszka w globalnej pasiece”. To właśnie w sztucznie wykreowanym pojęciu tożsamości pokłada winę za wojny i przewroty na Bałkanach pod koniec dwudziestego wieku, za zachowanie imigrantów, którzy jak tylko mogą zamykają się we własnych enklawach, za wojny w ogóle. Bardzo często podkreśla fakt, że sama nie ma żadnej tożsamości narodowej, że urodziła się w Jugosławii, ale teraz jest tylko kobietą-pisarką z holenderskim paszportem. Jest cudzoziemką niezależnie gdzie się znajduje „na litość boską, czy nie po to opuściłam swój dom, żeby być cudzoziemcem?”

52 - MAJ 2009
PORTRET ONLINE



Jeszcze bardziej specyficzne jest zdanie Ugresić na temat Boga. Twierdzi, że w niego nie wierzy, a równocześnie w wielu esejach się do niego odnosi, odwołuje. Zdarza się jej błagać go o pomoc w różnych sprawach, czy krzyczeć o pomstę do nieba. Kilka stron dalej zaś zarzeka się, że jest ateistką, irytuje się na wysoką frekwencję na religii w chorwackich szkołach wmawiając, że to z powodu politycznego prania mózgu, a nie rzeczywistej wiary: „Mój mały przyjaciel chodzi na religię. Religia jest, podobno, jego dobrowolnym wyborem. Lekcji religii w tygodniu jest tyle samo co lekcji angielskiego. W sobotę rano, gdy nie ma szkoły, dzieci też idą do kościoła”. Może to kwestia tego, że eseje pochodzą z różnych (bardzo różnych) okresów czasu, może jej opinia na ten



temat zmieniała się z biegiem czasu. Nie jest to jednak kwestia wychowania, bo dorastała w środowisku ludzi niewierzących, więc raczej nie wpoiła jej oni wołania do Boga w sytuacjach kryzysowych.

Nowe światło rzuca również na sprawy związane z równouprawnieniem kobiet. Twierdzi, że w komunistycznej Jugosławii poziom emancypacji był tak wysoki, że feministki walczyły tylko o większy wybór tamponów. Miały nie tylko prawa wyborcze, ale nawet zarobki równe mężczyznom pracującym na tych samych stanowiskach (coś, o co kobiety w większości krajów zachodnich walczą do dziś). Potem Jugosławia rozpadła się, a wraz z nią zniknęło równouprawnienie. I tak w zależności od kraju, w którym mieszkają aktualnie, byłe Jugosłavianki są pomiatane mniej lub bardziej. Najgorzej mają te z krajów wyznających religię muzułmańską. Zostały wciśnięte w burki i zmuszone do ukrywania zarówno swoich twarzy, jak i myśli. Jeśli chodzi o literaturę to tego równouprawnienia nie widziała nigdy. Jej zdaniem w tej dziedzinie od zawsze istniał podział na dzieła wysokie i kobiece. Te drugie spychane do wąskiego grona odbiorców, do grona, które nauczone jest wstydić się tego, co czyta, bo jest to gorsze, bo traktuje tylko o kobietach i ich sprawach. Bo pozbawione jest uniwersalizmu.

Te i inne tematy porusza w swoim zbiorze Dubravka Ugresić. Tylko nie robi tego nawet w malutkiej części równie poważnie jak ja. Wyolbrzymia, szuka jak najbardziej absurdalnych przykładów, przytacza karykaturalne, ale prawdziwe historie, a przede wszystkim ośmiesza zastaną rzeczywistość. Długo, długo marudzi na wszystko co jest zmuszona oglądać, a potem okrasza całą historię jakąś perelką dającą czytelnikowi pewność, że świat mimo wszystko jest piękny. Dziwny, czasem nielogiczny, ale piękny. Bo po co płakać nad zastaną rzeczywistością skoro można się z niej śmiać? - zdaje się pytać autorka z każdej strony swojej książki.

Dubravka Ugresić,
Nikogo nie ma w domu,
 tłum. Dorota Jovanka Cirlić,
Wyd. Znak,
Kraków 2008.



Czy na pewno „przysmak”?

Po przeczytaniu wypisów z recenzji zamieszczonych na początku powieści „Sześć Dominika” i notki z tyłu miałam ogromną nadzieję, że książka, którą trzymam przed sobą, poprawi mi humor. Po tak pozytywnych słowach nastawiłam się na tego typu zawartość. Autorski debiut Anny Łaciny nie jest jednak ani nadmiernie humorystyczny, ani pesymistyczny. Wszystko jest tu umiarkowane. Stylistycznie nie można jej nic zarzucić i chyba to jest jedyny walor tej powieści.

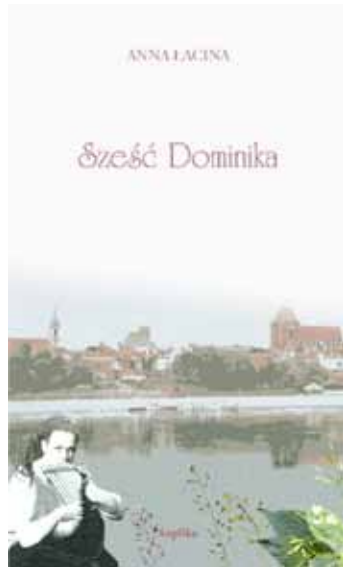
„Sześć Dominika” to książka o losach szesnastoletniej Dominiki i trzydziestoparoletniego Pawła. Ich losy przeplatają się ze sobą, chociaż sami bohaterowie mają ze sobą mało styczności. Fabuła odnosi się ogólnie do uczuć i związków między ludźmi, budowania relacji, problemów dnia codziennego. Związki, jak się dowiadujemy, to dość skomplikowana sprawa. Wszystko zależy od poszczególnych jednostek, a jak wiadomo ludzie są różni, więc i relacje są różne. Bohaterowie pierwszoplanowi mieszkają w Toruniu, akcja skupia się głównie na życiu w tym mieście, ale autorka często nawiązuje do podróży i wspomnień z różnych miejsc. Sporo jest tu odniesień do przeszłości. Dominika poszukuje odpowiedzi na pytanie, kto jest jej ojcem, Paweł natomiast próbuje odnaleźć ukochaną z dawnych lat. Każdy czegoś chce, potrzebuje. Według mnie wystarczyłby jeden wątek przewodni, a tak mamy nagromadzenie przeróżnych historii, wszystkiego jest aż w nadmiarze. Brakuje, potocznie rzecz ujmując, ładu i składu w fabule.

Trudno jest pisać o tej książce, bo choć, jak już wspominałam, poprawna, szybko staje się nudna. Za dużo jest tu wątków, za wiele postaci – przeszły. W pewnej chwili nie wiadomo, kogo dotyczy dana historia. Sama Dominika i Paweł to dość „oryginalni” bohaterowie. Młoda, atrakcyjna dziewczyna stara się zdobyć starszego od siebie o kilkanaście lat mężczyznę. Biega za nim próbując go uwieść na sto różnych sposobów. A ma przecież wokół siebie kolegów rówieśników, właściwie to skupia się na nich wszystkich, bo po co się ograniczać. Momentami można wywnioskować, że jest bardzo zdesperowana, a ma przecież dopiero szesnaście lat. Chce być dorosła, ale tym bardziej pokazuje, jak jest niedojrzała. Paweł, niespełniony biolog molekularny, mieszkający nadal z rodzicami, ciągle poszukuje swojej drogi życiowej.



Na spotkaniu klasowym stara się udowodnić, że on też coś osiągnął. Kolejny desperat podążający za utraconą miłością, którą jest Anna, koleżanka z liceum.

Książkę tę można by skierować do osób w różnym wieku. Nie jest ona napisana pod kątem konkretnej grupy odbiorców, w efekcie mamy do czynienia z powieścią, którą choć pisana dla wszystkich, tak naprawdę jest dla nikogo. Można by doszukiwać się tutaj głębi, tego że każdy potrzebuje miłości, że życie jest trudne, ale to dość banalne prawdy, chyba że ktoś lubi takie rozwiązania, jakie można odnaleźć w telenoweli. Wystarczy wspomnieć przykładowo o tym, jak Dominika próbuje uwieść mężczyznę oblewając go „przypadkiem” sokiem. Mężczyzna ten w finale powieści okazuje się jej ojcem. I już mamy odpowiedź, dlaczego nie dał się skusić nastolatce. Wszystko jest aż „ZA BARDZO” wymuszone, przytłaczające, przewidywalne...



Poza tym wielu czytelników zarzuca samemu tytułowi, że nie jest trafiony, że mało przekonuje. „Sześć Dominika” – na forach czytelnicy dopytują się, co to w ogóle znaczy. Tytuł miał przyciągnąć, zaciekawić, a efekt wyszedł zupełnie odwrotny.

Po przeczytaniu powieści „Sześć Dominika” stwierdzam, że nie jest to pozycja którą poleciłabym do przeczytania. Według mnie to przesadzona, zbyt mdła i prosta opowieść o ludziach, którzy nie wiedzą czego chcą, którzy są zbyt zdesperowani i zbyt zajęci sobą, którzy ciągle szukają, ale bezskutecznie. „Sześć Dominika” nie jest przysmakiem, nie zapiera tehu w piersiach, nie sprawia, że chce się płakać. To bardzo poprawna książka jedynie dla wytrzymałych, zaprawionych w bojach z nudą czytelników.

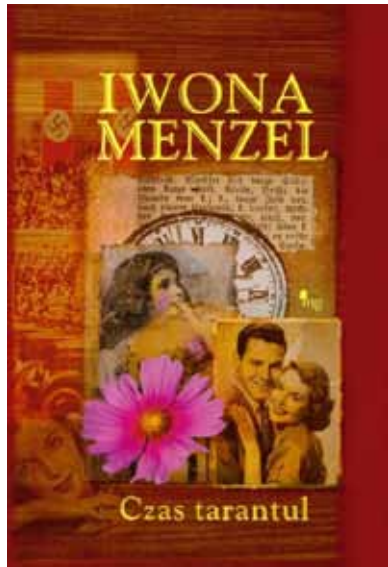
*Anna Łacina,
Sześć Dominika,
Wyd. Replika,
Zakrzewo 2008.*



Czy gdzieś-kiedyś istnieli „źli Niemcy”?

Onet-Forum z dnia 23.01.2009.

- *Jakie znacie filmy z „dobrymi” faszystami? Ja znam „Pianistę”...*
- *No to fajnie, że znasz!*
- *„Stawka większa niż życie”.*
- *„17 mgnień wiosny”.*
- *„Czterej pancerni i pies”...*
- *Pies faszystą?*
- *Ja, Herr Kugel!*
- *„Skrzypek na dachu”...*
- *Zglupiałeś, tam nie ma faszystów!*
- *Ale jest semityzm...*
- *Uśmiełem się po pachy!!! „Jak rozpętałem II wojnę światową”.*
- *„Dyktator”.*
- *„Katyń” – w tym filmie faszyci okazali się bardziej ludzcy od NKWD.*
- *„Młode lwy” i Brando.*
- *Niemiecki „Stalingrad”.*
- *A ja znam „Listę Schindlera”!*
- *Schindler nie był faszystą, ciolku!*
- *Aha! – „O: Schindler urodził się w Zwittau w Austro-Węgrzech, obecnie Svitavy w Czechach, w zamożnej rodzinie kupieckiej. Rodzina poniosła duże straty w czasie kryzysu ekonomicznego w latach 30., zaś Schindler przystąpił...”*
- *Może być dobry Niemiec, tak jak zły Polak, lecz nie można mówić o dobrym faszycie. Jest w tym określeniu sprzeczność – ze względu na samą ideologię, czyli faszyzm.*
- *A pamiętacie wystawę w Zachęcie, gdy Olbrychski poleciał z szablą ciąć zdjęcie? Wielka sprawa! – nie*



ma dobrego aktora, który by nie włożył hitlerowskiego munduru...

- Bo niemieckie mundury były najpiękniejsze ze wszystkich z całego okresu II wojny światowej. Gdzie do nich ruskim fufajkom, czy amerykańskim szmatom z jutowego worka. W takim mundurze to nawet ostatnia ciapa wyglądała jak prawdziwy facet!

- Zgadzam się w stu procentach!

- No, ale wracając – „Giuseppe w Warszawie”.

- „Świat według Kiepskich”!

- „Tylko dla orłów”.

- Wszystkie westerny z bohaterskimi kowojami walczącymi z niedobrymi Indianami!

- Trafna uwaga! Skoro faszyci to nie naród, ale ludzie o określonej ideologii...

- „Żelazny krzyż”. Świetny film.

- I tak wszystkie filmy przebija „Allo, allo”. W końcu hitlerowcy to też ludzie, chacha.

Iwona Menzel, była warszawianka, obecnie mieszkanka Darmstadt w Hesji, w swojej zeszlorocznej powieści „Czas tarantul” opisała „dobrych Niemców”. A może raczej „zwyčajnych Niemców” w nadzwyczajnych czasach? Ludzi w nieludzkich czasach? Pisarka, która na swoim życiorysie sama niejako „trenuje” zderzenie się kultury polskiej i niemieckiej, czyli tradycji, historii i punktów widzenia, w jednym z wywiadów stwierdza: „Mieszkając wiele lat w Niemczech uświadomiłam sobie, że jest temat, na który nikt nie chce ze mną mówić. Mimo że minęło już ponad 60 lat od zakończenia wojny, fenomen narodowego socjalizmu jest w rodzinach niemieckich nadal skrętnie przemilczany. Kiedy przyjechałam do Niemiec, żyło jeszcze pokolenie, które aktywnie przyczyniło się do powstania III Rzeszy, spotykałam ludzi wykształconych, wrażliwych i kulturalnych, cieszących się powszechnym szacunkiem, o których brunatnej przeszłości dowiadywałam się przypadkiem”. Jak zadeklarowała w kilku wywiadach, pisarka pragnie więc swoją twórczością (między innymi, oczywiście) zatrzeć owe animozje, tak utrudniające naturalność i płynność kontaktów polsko-niemieckich. Nie możemy, i Polacy, i Niemcy, omijać wzrokiem wspólnych dyskusyjnych kart historii, nie możemy też skupić całej swej uwagi na przeszłości i zgubić się w końcu wśród roztrząsania, kto miał rację i kto na tym wszystkim więcej stracił. Bilans korzyści kosztów, win i kary jest niemal oczywisty, a przede wszystkim od dawna znany, obecnie trzeba zaś chyba skupić się na możliwości i chęci porozumienia – właśnie dzięki wspólnej historii.

Zawsze, gdy oglądam filmy o drugiej wojnie światowej, słucham relacji tych, co ją przeżyli, rodzi się we mnie pytanie, które nieodmiennie oburza przedstawiciele starszego pokolenia, czyli tych, którzy pamiętają: jak zachowalibyśmy się będąc na ich miejscu? Jak postąpiliby Polacy, gdyby jakimś dziwnym zrządzeniem losu zamienili się historią z Niemcami? Jak zachowałabym się ja, mój dziadek i moja babcia, moi sąsiedzi i przełożeni? Czy w poczuciu wspólnoty podnosiłobyśmy rękę do góry pozdrawiając charyzmatycznego Führera, który genialnym posunięciem uwolnił naród od bezrobocia i (niezaprzeczalnie słusznego) miażdżącego morale poczucia klęski? Czy byłabym bezwzględna Bauerką, mój najlepszy przyjaciel fantastycznym żołnierzem Wehrmachtu, a sąsiad zza ściany najskuteczniejszym kapo w „obozie pracy”? Zawsze w takich momentach ze strony adwersarza padają gorące argumenty o „niemieckim charakterze narodowym” oraz „odwiecznych germańskich skłonnościach”, jak również o wrodzonym braku agresywnych dążeń u Polaków – ale to wszystko stereotyp! I jeszcze długo nierozwiązywalny punkt sporny.

Ale wracając do wątku głównego: Menzel uczyniła główną bohaterką swej pajęczej opowieści Verę, młodziutką, uzdolnioną muzycznie Niemkę, która zapragnęła wydobyć się spod opiekuńczych skrzydeł *Mutti und Vati* z prowincjonalnego miasteczka, i poznać prawdziwe, ekscytujące, eksplodujące miłością życie w stolicy. Prawdziwym błogosławieństwem stało się więc dla niej zaproszenie do domu bogatej i światowej matki chrzestnej. Jej ciotka była idealną panią domu, kochającą oraz czującą żoną i matką, kobietą światową i elegancką. Idealną Niemką. Ona to wprowadziła swoją siostrzenicę na salony, czyli w tzw. „towarzystwo”, oraz w światek berlińskiej bohemy, gdzie Vera znalazła miłość swego życia. A ponieważ wszystko to działo się w latach trzydziestych XX wieku, fakt, iż wybranej jej serca to Żyd, nabral szczególne znaczenie... Podczas lektury „Czasu tarantul” obok tych wątków obyczajowych czytelnicy równocześnie mogą się delektować (i nie jest to bynajmniej mdłe pochlebstwo) niezwykle ciekawymi i dopracowanymi pod względem socjologicznym opisami niemieckiego zamożnego domu mieszczańskiego, wczuć w wahania kobiet zaplątanych w sprytnie ukrywane związki pozamałżeńskie, śledzić psychologiczne zakręty życiowe przystojnych żołnierzy, zamożnych finansistów, odważne posunięcia kontrowersyjnych polityków. Jednocześnie czytelnik obserwuje z coraz większym wewnętrznym niepokojem znane od dzieciństwa opisy eskalacji politycznej grozy niemieckiego narodowego socjalizmu, wypulaje więc fakty, których Niemcy z kart powieści (Niemcy z lat trzydziestych) nie widzą, nie słyszą, nie

analizują. Widzi więc jednocześnie przykłady bezmyślności, tchórzostwa, konformizmu, okrucieństwa, strachu oraz miłości, bezinteresowności, czułości macierzyńskiej i ojcowskiej, tęsknoty, pożądania. Zaczyna wnikać w nikłość różnic między niewinnością a tchórzostwem, winą a bezmyślnością. Dla Polaków najciekawszym aspektem tego wszystkiego jest bezustannie kołatająca się w zakamarkach umysłu myśl: „To są Niemcy! Mają te same problemy! Są tacy jak my!”.

Czy Polak jest w stanie zrozumieć Niemca z tamtych lat? Fascynację brzydkim wrzaskliwym prowodyrem partii nacjonalistycznej? Masowy podpis pod dwuznaczną ideologią staroindyjskiego symbolu słońca – swastyki? Udawane czy prawdziwe zdziwienie przy jakiegokolwiek wzmiance o okropnościach II wojny? Ostateczne wyparcie się wszelkich win okresu 1939-1945? W medialnych rekomendacjach „Czasu tarantul” pada porównanie do legendarnego już filmu „Kabaret”. Nie jest to komplement na siłę ani pochlebstwo. Książka jest bardzo dobra – pomaga Polakom rozumieć Niemców „po niemiecku”.

*Iwona Menzel,
Czas tarantul,
Wyd. MG,
Warszawa 2008.*



Przywołać tamten lęk

Zdarzenia roku 1981 są mi niewiele bliższe niż te z 1410 roku. Mnie nie było wówczas nawet w planach, moja rodzina ze stoickim spokojem przeżyła PRL, nie angażując się po żadnej ze stron, nie przekazując mi w efekcie ani wyrzutów sumienia w wyniku współpracy, ani tradycji opozycyjnych. Jeśli więc 270 stron książki wystarczyło, by przybliżyć mi te czasy lepiej niż lekcje historii, opracowania naukowe, czy przepelnione patosem tudzież nienawiścią teksty pojawiające się przy okazji kolejnych rocznic grudniowych, świadczy to całkiem dobrze o autorce.

Kraków w grudniu 1981. Pełne życia miasto nagle zastępa w obliczu zdarzeń dla całego kraju niepojętych. Społeczeństwo teoretycznie jednorodne dzieli na się na dobrych i złych, naszych i tamtych. Trudno przewidzieć, kto okaże się wrogiem, a kto przyjacielem. Grupy opozycyjne, gazetkowe, ulotkowe, tworzą się szybko i nie bez błędów personalnych. Czy walka za pomocą powielanych potajemnie odezw do narodu i oporników w klapach ma sens?

Główną postacią „Opowieści z powielacza” jest Andrzej, student czwartego roku filozofii, plonący słusznym gniewem wobec agresora. On i jego przyjaciele, ich podziemne działania, ale też ich rodziny, studia, miłości, stają się tematem książki. Krakowska codzienność, kartki, kolejki, humor ulicy, demonstracje, tragedie i radości, przyjaźń, miłość, zdrada, dojrzewanie życiowe i polityczne bohaterów, opisane prosto, wręcz oschle.

Pojawia się tu kwestia dyskusyjna: czy prostota języka jest plusem tej książki? Jestem fetyszystką języka pisanego i możliwości, które stwarza. Bywają teksty, do których zdania inne niż proste i zwięzłe nie pasują. Są sprawy, o których pisać trzeba bez emocji. Zapewne gdyby Dorota Zańko pisała w sposób bardziej kwiecisty, książka nabrałaby niezdrowego, tandetnego patosu. Prostota miała chyba sugerować obiektywizm. Zamiar słuszny, jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że w pewnym stopniu odczłowieczyło to powieść, zabrakło emocji. Dialogi uproszczone do minimum są aż nienaturalne.

Może to przewrotny żart historii, ale stylistyka tej powieści nasuwa mi na myśl przedziwne książki z młodości moich rodziców, które ja przeczytałam w czasach bezkrytycznej fascynacji słowem drukowanym. W podniszczonych okładkach, na beznadziejnym gatunkowo papierze, w ramach przeróżnych młodzieżowych czy kieszonkowych serii wydawniczych, kryły się jednocześnie świetne teksty uznanych autorów, jak i okropne produkcyjniaki, słabe warsztatowo, za to zaangażowane ideologicznie. „Opowieści z powielacza” nieporadnym stylem przypominają mi niestety ten drugi rodzaj literatury. Chciałabym się ludzić, że to celowy zabieg autorki.

Współpraca z władzą w imię miłości do ojca-komunisty albo w wyniku szantażu związanego z orientacją seksualną? Działanie w podziemiu jako efekt zauroczenia kolegą a nie rzeczywistej woli



walki? Szkoda, że prawicowi politycy dokonujący teraz, po tylu latach, kategoriycznych podziałów na dobrych i złych, nie biorą pod uwagę czysto ludzkich motywacji, które wówczas warunkowały opowiedzenie się po którejś ze stron. Nie jestem w stanie powiedzieć, kim byłabym, gdyby przyszło mi wówczas żyć i wybierać. Nie mnie oceniać. Dobrze, że autorka nie przyczepia jawnie etykietek, nie dzieli, nie osądza stanowczo, jej poglądów można się tylko domyślać.

Może książka nie jest napisana porywająco, może warsztatem nie zachwyca, może autorka miała dobry pomysł, tylko realizacja delikatnie rozczarowuje. Jeśli przemówić miały wydarzenia, ludzie i ich postawy, to zamysł się powiódł. Książka jest sugestywna, oddaje klimat, nastrój, smaki i zapachy tych czasów. Czasem wstrząsające, nieraz infantylne dramaty, lęki i przemyślenia bohaterów udzielają się czytelnikowi. Tak, nie bez przeszkód, ale udało się autorce przywołać tamte emocje. W ramach czytelniczego rewanżu mogę więc, pomijając skojarzenia z „Ważnymi sprawami dziewcząt i chłopców”, polecić tę książkę każdemu.

*Dorota Zańko,
Opowieści z powielacza,
Wyd. Znak,
Kraków 2008.*



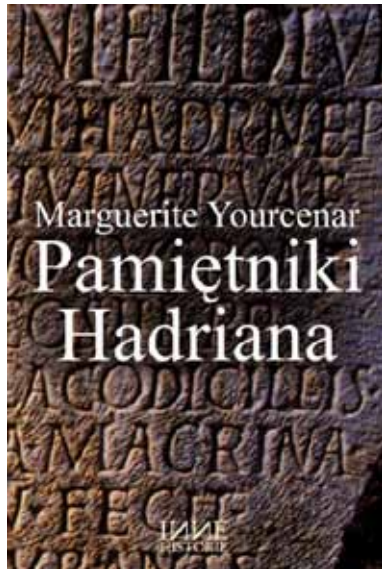
Między despotycznością a człowieczeństwem

„Panowały we mnie po kolei istoty różne, żadna długo, ale obalony tyran szybko znów wracał do władzy. Mieszkał więc we mnie skrupulatny oficer, fanatyk dyscypliny, ale wesoło dzielący ze swymi ludźmi prywatnie wojny; melancholik rozmyślający o bogach; kochanek gotowy na wszystko dla chwili oszłolnienia; młody, wyniosły porucznik, co przesiaduje sam w swoim namiocie, studiuje swoje mapy w świetle lampy i nie ukrywa przyjaciółom swej pogardy dla sposobu, w jaki toczy się świat; przyszły mąż stanu. Ale nie zapominajmy też i o marnym pochlebcy, który, żeby nie wyjść z łask, zgadzał się upijać przy cesarskim stole; o żółtodziobie, który rozstrzygał z wysoka wszystkie zagadnienia z komiczną pewnością siebie; o niepoważnym wymownym młodzieniaszku, gotowym dla dobrego dowcipu stracić dobrego przyjaciela; o żołnierzu spełniającym z mechaniczną dokładnością podle roboty gladiatora. [...] Ale stopniowo zaczynał sprawować swoje czynności nowy przybysz, dyrektor trupy, reżyser. Znałem imię moich aktorów; ułatwiałem im wejścia i wyjścia; wykreślałem niepotrzebne repliki; coraz skuteczniej unikałem pospolitych efektów.” Zaprezentowane w powyższym cytacie różnorodne postacie składają się na obraz skomplikowanej osoby Cesarza Rzymskiego, Hadriana. Człowiek targany różnymi namiętnościami wciela się w rolę zarówno bezwzględnego żołnierza, despotycznego władcy, jaki i wrażliwego poety, kunsztownego mecenasa sztuki i gustownego architekta. Marguerite Yourcenar sięga po paletę barwnych charakterów, aby rzetelnie dokonać studium psychologicznego postaci. Autorka maluje portret Cesarza Rzymskiego, podkreślając grubą kreską jego człowieczeństwo. Cesarz, który przeciętnemu czytelnikowi kojarzy się z despotycznością i okrucieństwem, jawi się również jako postać o ludzkich słabościach i ulomnościach. Autorka nie tuszuje jego bezwzględności, wręcz odwrotnie, na wierzch wylania jego obsesję władzy, która wymaga twardej ręki. Ukazuje ambiwalentność człowieka, który z jednej strony twierdzi, że „Rzym już nie jest w Rzymie: musi zginąć albo stać się równym połowie świata”, z drugiej zaś strony prowadzi politykę wyrzeczenia się podbojów i walk. Kwintesencją zwierzeń z panowania Rzymem jest prawda o środowisku władczym, w którą Hadrian powoli wsiąkał i stawał się

jego ofiarą.

„Pamiętniki Hadriana” to powieść napisana w formie listów skierowanych do Marka Aureliusza, adoptowanego wnuka Hadriana. Tuż przed śmiercią cesarz dokonuje syntezy swojego życia. Rekonstruuje fakty, aby wiernie przedstawić wnukowi cały mechanizm dochodzenia do władzy, rządzenia i utrzymania jej. Niczego nie ukrywa i nie koloryzuje. Nie tłumaczy się ze swoich często despotycznych decyzji, ponieważ nie żąda rozgrzeszenia. Pragnie jedynie przybliżyć Aureliuszowi kulisy władzy, przygotowuje go do panowania nad Rzymem. Hadrian wyznaje filozofię, wedle której historia zatacza koło. Jego doświadczenia mogą być przydatne wnukowi, bowiem i on zetknie się z podobnymi przeżyciami. Przygotowuje go przed wejściem do środowiska spisku i chciwości. Uczy go być

50027 ONLINE 52 - MAJ 2009
PORTRET ONLINE 52 - MAJ 2009



zarówno aktorem, jak i akrobatą.

Hadrian chronologicznie ukazuje przechodzenie ze szczybla na szczybel kariery. Zdradza swoje namiętności, pożądanie władzy, która wywoływała w nim euforię. Przyznaje się również do uczuć, do których cesarzowi nie wypada się przyznać. Obsesja śmierci i strach przed trucizną, towarzyszą mu nawet u kresu życia. W obliczu choroby dokonuje refleksji nad dwoistością człowieka- jego ciałem i duchem. Ujawnia paradoks śmierci, która wygrywa z człowiekiem nie na polu walki, lecz w chwilach fizycznego cierpienia. Śmierć, która obnaża cesarza z wielkości, męstwa i odwagi. W jej obliczu Hadrian zostaje zrównany z niewolnikiem. Świadomość zbliżającego się końca budzi w nim pokorę wobec życia i szacunek wobec innych ludzi.

Hadrian oprócz władcy, mędrca, filozofa jawi się również jako miłośnik sztuki i literatury. Autor wierszy miłosnych, okolicznościowych i pomograficznych. Tworzył ośrodki kultury greckiej w Rzymie. Stawiał biblioteki i pomniki wybitnych postaci. Świadomy własnej wielkości pragnął pozostawić po sobie świadectwo w postaci kroniki, uwieczniającej jego panowanie.

Obok jego postaci pojawia się również Rzym – bohater drugoplanowy, wyrazisty i istotny dla dopełnienia całościowego obrazu cesarza. Autorka przybliży czytelnikowi miasto wraz z jego obyczajami, igrzyskami i walkami gladiatorów. Łączy ludzkie zwyczaje z programami politycznymi.

Listy Hadriana są medytacją chorego, który na łożu śmierci słucha swoich wspomnień. Próbuje poznać siebie. Być może pragnie przywrócić sobie sprzed czasów panowania, ale czy to możliwe? Przecież jak sam wyznał: „Maska po dłuższym czasie staje się twarzą”.

Pamiętniki są formą zapisu własnych myśli i dokumentowania przeżyć. Pisane przeważnie „na gorąco”, w momentach zburzonych uczuć, które wymagają natychmiastowego przelania ich na papier. Pamiętniki Hadriana dalekie są od emocjonalności. Wydarzenia opisywane są w swoistym, jednostajnym tonie. Brak tu napięcia i zmiany nastrojów. Wyraźnie widać, że pisane są w tym samym czasie, w momencie kiedy cesarz przestaje być tyranem, a staje się mędrce. Na wszystkie etapy życia spogląda z tej samej perspektywy. Wspomina dawne uczucia, bardziej w formie analizy niż w postaci takiej, jakiej rzeczywiście mu towarzyszyły.

Yourcenar napisała lekturę dla miłośników dziejów starożytnego Rzymu i historii jego władców. Tylko oni bowiem są w stanie wyluskać z niej elementy fikcji. Fikcja świadoma i zamierzona. Pomogła skleić

fakty i stworzyć całościowy portret człowieka. Portret namalowany formą kolażu, który oddaje złożoną i skomplikowaną osobowość cesarza Hadriana.

*Marguerite Yourcenar,
Pamiętniki Hadriana,
przeł. Hanna Szumańska-Grossowa,
Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2008.*



To je fajne! – mężczyźni ukradli powieść kobiecie!

„Czy zabić się drodze z pracy to zgodne z przepisami? Koleżanka Królowa Śnieżka nie jest na chwilę obecną w stanie prowadzić! Noga się jej może omsknąć. Podobnie jak koleżanka Czerwony Kapturek! (...)”. Skąd ten cytat? – czy to koszmara któregoś z braci Grimm? Czy to jedna z wizji przemęczonego Andersena? Scena buntu postaci bajkowych na dworze Babcia Gąski? Nie, to fragment ostatniej powieści Danuty Noszczyńskiej o zastanawiającym tytule „Mogło być gorzej”. Książka jest szalona. Jest odlotowa. Jest „Chmielewska” – czyli lekko i przyjemnie nawiązuje do klasyki polskiej powieści popularnej, a jednocześnie stanowi poddmuch zdolnej i podniecającej wariacji na znane tematy...

Kośćcem książki są żywe, wyraziste, ale nie przerysowane i nie komiksowe postacie. O dziwo (co nietypowe w wypadku powieści kobiecych!), na plan pierwszy w wyścigu do sympatii uwagi czytelnika wysuwają się bohaterowie mężczyźni. Widać w tym małe podobieństwo do zamieszania wokół nagrody Oscara: stroszą piórka gwiazdy, czyli frontmeni nominowanych filmów, a na gali niespodzianka! – palmę pierwszeństwa wyrwa któraś z ról drugoplanowych! Tak też i tu się stało, choć w „Mogło być gorzej” aż roi się od przeróżnych, interesujących kobiet. Jest oczywiście główna bohaterka: zapracowana, lekko histeryczna (aczkolwiek z wdziękiem), kochająca matka i żona (dokładnie w tej kolejności) Julia, a potem: jej najlepsza przyjaciółka, tajemnicza Dorota (czy najlepsza?, czy przyjaciółka?), moherowa przylatana babcia młodszej pociechy Julii, Liszkowa, i Aldona, doktoryzująca się kura domowa, i młodociana Maria, zbuntowana nastolatka w szczytowej formie, i mała słodka kablara, czyli Antonina, młodsza córka Julii, i wielkopańska matka owiej (straszna kobieta), i fajna pracownica domu kultury Marzena, i... długo tak można. A jednak powieściowi mężczyźni nie stanowią bynajmniej breloczków u damskich torebek: taki, na przykład, epatujący nieporadnym wdziękiem szef głównej bohaterki... Pisarka rewelacyjnie skonstruowała tę postać, stosując pewien wypróbowany zabieg stylistyczny: *skanning* bohatera z wielu punktów widzenia. Na wstępie ten – widziany oczyma pracowników – mężczyzna to cham, zbroceniec i dziwak

(wdzięczny pseudonim Zgredek), który nie zasługuje na jakiegokolwiek ciepłe uczucia i niewątpliwie jest zdolny do wszystkiego – na przykład do morderstwa... Albo do ukrywania zmasakrowanego ciała... Albo do... czegoś jeszcze gorszego. Stopniowo Zgredek odsłania swe ludzkie oblicze, dobre chęci, szybki pomysłupek, skłonność do pomocy w potrzebie... – oj, niebezpiecznie zbliża się do ideału... Ale spokojnie, gdyż Nowińska wykonuje znów intrygującą, cudowną woltę (i tako też manipuluje uwagę czytelnika) operując jak kukielką drugą pierwszoplanową postacią męską, niemal jednoznacznie pozytywną, czyli Julinym mężem Jackiem. Ów ideał życia codziennego (gotuje, pierze, dba o dzieci w pełnym wymiarze godzin oraz wrzeszcząc kocha żonę) wyjeżdża nagle za granicę i tam przestaje wydawać się tak kryształowy... Czy zdradza? Czy oszukuje? Czy w ogóle wyjechał?! A jeszcze pełnokrwista postać Stefana Zająca, zwanego Kicakiem? No, ale to może nie jest najlepszy przykład...

Noszczyńska jest nie tylko pisarką



ludyczną i niefrasobliwą, jak się na pierwszy rzut oka zdaje, lecz i przemyślną, gdyż dodatkowo i mimochodem wplata w treść opowieści ważne i trudne wątki społeczne lat dwutysięcznych: lawirujące w meandrach polskiej gospodarki powiatowe placówki kultury z pracującymi tam zapalenicami, problem emigracji zarobkowej i i powstających w wyniku tego nowych wyzwań dla małżeństw oraz całych rodzin, ogólnoswiatową tendencję zamian ról społecznych i wypływające z tego zagubienie psychiczne obu płci, dość powszechną skłonność do przepracowania albo do ucieczki w pracę, mobing, nieprzyjemny aspekt posiadania telefonów komórkowych, niebezpieczeństwa płynące z jawności informacji, konsekwencje braku uwagi jednego ze współmałżonków wobec drugiego.. A z drugiej strony tak odwieczne skłonności natury ludzkiej jak zazdrość, gniew, nieumiarkowanie, złośliwość, zawiść, złudzenia, paranoje. Wszystko takie zwyczajne, dotyczące każdego... – przecież każdego kiedyś zdradzono, każdy poczuł totalne opuszczenie, każdy omal nie zabił, omal nie zdradził, omal nie porzucił... I każdemu choć raz pomogła najmniej spodziewana osoba. Mądra jest powieść Noszczyńskiej i tak naprawdę ma tylko dwie słabe strony. Po pierwsze tytuł... „Danuta Noszczyńska – >Mogło być gorzej<” – fatalnie to brzmi, prawda? Stanowcze *veto!* – tak udana książka wymaga bardziej marketingowego, lepszego tytułu! – w tym czuć echo telenoweli, czego nie uzasadnia ani jedna scena, ani jedna z wypowiedzi któregośkolwiek z bohaterów. Druga katastrofa – okładka! Ten pierwszy *wabik na czytelnika*, NIE „mogło być gorzej”!!! Czegoś tak fatalnego graficznie już dawno nie oglądaliśmy – gdyż toporna postać kobieca rodem z linorytu, na białoniebieskim tle wśród wklejanych „kalkomanii”-przedmiotów jedynie może odstraszać od tej chyba najbardziej udanej z dotychczasowych powieści Noszczyńskiej. Ale ponieważ opowieść o Julii i spółce naprawdę nie zasługuje na tak minorowe zakończenie... – o, bracia w literaturze, siostry w umyśle! Przelammy niechęć estetyczną, otrzępmy zbrukane kiczem palce, zignorujmy złowróżbny tytuł iiiiii... Ale jazda!!!

Danuta Noszczyńska,
Mogło być gorzej,
Wyd. Philip Wilson,
Warszawa 2008.



Niedaleko pada zeberko od kaloryfera

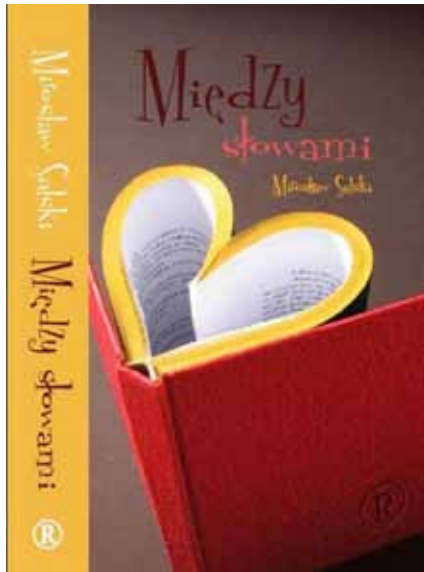
Tytuł „Między słowami” można kojarzyć z filmem Sofii Coppoli, tym razem jednak mowa będzie o książce Mirosława Salskiego. Akcja toczy się w Białej Górze, ale jak notka z tyłu powieści głosi, nie ma znaczenia, gdzie się żyje, wszędzie ludzkie namiętności są takie same.

Książka ta jest zabawna, zaskakująca, czyta się ją z prawdziwą przyjemnością. Między wierszami można odnaleźć prawdziwe perełki słowne. Główną bohaterką jest Ewa Sobczak – pisarka, która po latach wraca do rodzinnej Białej Góry, by napisać swoją drugą książkę. Pierwszą była powieść „Kraina szczęścia”, która sprzedadała się w nakładzie 10 tys. egzemplarzy w pierwszych dniach od ukazania i stała się bestsellerem. Wspominam o tym fakcie, ponieważ od tego zaczyna się cała historia. W tym miejscu do akcji wkracza kolejny ważny bohater, którym jest Piotr Skaziński (Skaza bez skazy), zakochany bez pamięci w Ewie właściciel księgarni. Czekal on na ukochaną przez piętnaście lat z nadzieją, że kiedyś jego obiekt westchnień wróci do Białej Góry. I pisarka wraca, witana laurami i ogólnymi zachwytaami z powodu sukcesu, który osiągnęła, i nadziei, iż wypromuje ona miasto w swojej nowej książce. Autorka trafia na afery, bawi się w detektywa, a my towarzyszymy jej w owych demaskatorskich poczynaniach. Ewa Sobczak jest jednak bohaterką miasta tylko do czasu, dokładniej zaś do momentu, gdy odkrywa niewygodne ciekawostki z życia dyrektora szkoły Czesława Ostapczuka. Okazuje się, że spokojne i z pozoru nudne miasteczko kryje w sobie historie idealnie nadające się do umieszczenia w książce, co niekoniecznie podoba się chociażby TPBC (Towarzystwu Przyjaciół Białej Góry) i synowi Ostapczuka, który też nie należy do świętych. Wszystko to okraszone jest zabawnymi dialogami (np. „- Czyste majtki dobra rzecz...- Dziękuję, mam pralkę automatyczną”), wywodami na temat relacji damsko-męskich i opisami zwykłych codziennie-niecodziennych sytuacji. Można dodać, że kolejnym z głównych bohaterów jest miasto, pełne namiętności, tajemnic, legend. Ma nawet własną wiedźmę.

Na pierwszy rzut oka powieść robi wrażenie – książki w książce, bo głównie traktuje o pisaniu, zbieraniu materiałów czy sposobach promocji. Fabuła jest spójna, autor w ciekawy sposób prowadzi nas przez

tajniki literackie. Gdzieś między poszukiwaniem tematu, inspiracji przewijają się skandaliki, miłostki, poszukiwania małego Piotrusia, który zaginął, a co wcale nie przeszkadza głównym bohaterom non stop uprawiać seksu. Ewa stwierdza bowiem, że i tak za wiele nie pomogliby w poszukiwaniach ze Skazą, więc po co marnować czas, skoro można go poświęcić na przyjemności i wylegiwanie w łóżku. Rozwiązanie akcji jest zdecydowanie inne od tego, jakiego można by oczekiwać. Jedni mogą uznać to za plus, ja czułam niedosyt, tak jakby Mirosław Salski nie miał zamiaru

50002 PBAU - 25 ANI 110 1312004
PORTRET ONLINE 2008



kończyć książki. Być może autor planuje kontynuację lub chciał, by czytelnik sam sobie dopisał finał. Można powiedzieć, że książka jest swoistym „głosem w sprawie”. Natknijemy się bowiem na rozważania dotyczące promocji literatury: dlaczego właśnie takie a nie inne pozycje pojawiają się na rynku i co trzeba zrobić, by książka w ogóle została wydana. „Między słowami” to romans o pisaniu książki. Lekki, niezobowiązujący, dla pań i panów. Narratorem jest Ewa i Piotr, więc obserwujemy rozwój fabuły z perspektywy kobiety i mężczyzny.

„Niedaleko pada żeberko od kaloryfera” - po odpowiedź, czego dotyczy to cenne sformułowanie, odsyłam do książki Mirosława Salskiego. Polecam osobom, które chcą się na chwilę oderwać od rzeczywistości. Pozycja ta nie tylko poprawi humor, ale także pomoże spojrzeć na codzienne problemy z tzw. przymrużeniem oka.

*Mirosław Salski,
Między słowami,
Wyd. Replika,
Zakrzewo 2008.*



Między treścią a formą

Siłą festiwalu Klamra jest różnorodność. Podczas tegorocznej edycji zaprezentowano dziewięć spektakli: w większości – projekty znanych od lat grup alternatywnych, ale pojawiły się również zespoły nie tak popularne, młodsze, kształtujące dopiero własne środki wyrazu.

Jak co roku zaprezentowano przedstawienia, których nadrzędnym środkiem wyrazu był ruch. Dwa z nich: „Kolysanka” Teatru A PART oraz „My” MAAT PROJEKT wymagały od widza szczególnej obecności, refleksji na temat śmierci i przemijania. „Kolysanka” to teatralne studium umierania: od niemożliwości wykonania prostych gestów, po dramatyczne próby zapanowania nad schorowanym ciałem, które nie potrafi odzyskać dawnej sprawności. Wykreowana przez Katarzynę Gliwę postać starej kobiety, która nie radzi sobie z prostymi, codziennymi zadaniami wywołała kontrowersyjne oceny widzów. Z jednej strony zachwycała precyzją ruchów aktorki, z drugiej zaś, w spektaklu pojawiło się kilka scen, których finał łatwo można było przewidzieć. Bez wątplenia jednym z ciekawszych motywów przedstawienia było pojawienie się maski umieszczonej z tyłu głowy aktorki jako drugiego oblicza postaci. Spektakl momentami wzruszał, zachwycał prostotą, ale odnosiłam wrażenie, że reżyser do końca nie panuje nad tym wykreowanym światem. Doskonałym dowodem tego jest chociażby fakt, że podczas spotkania z widzami nie potrafił precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie: co w tym widowisku ma oznaczać maska. Podziwiam zapał włożony w pracę nad spektaklem powstałym na podstawie poszukiwań twórczych, wiwisekcji najskrytszych odczuć aktora, ale trudno mi zaakceptować brak spójności koncepcji inscenizacyjnej. Zwłaszcza, że spektakl przykuwa uwagę i prowokuje do pytań.

Natomiast w spektaklu „My” mieliśmy do czynienia z kreacją świata teatralnego powstałego z serii nerwowych, antynaturalistycznych ruchów aktorów. I chociaż trudno było odgadnąć co oznaczają pojedyncze gesty postaci, to możemy stwierdzić, że tym, co organizowało ruch były refleksje na temat przemijania i walki o to, aby każdą chwilę życia wykorzystać w pełni. Aktorzy tarzający się w mokrym

piasku w rytmie elektronicznej muzyki przypominali trochę dzieci, które bawią się na placu zabaw. Jednak tempo oraz nagromadzenie dynamicznych ruchów powodowały, że to, co oglądaliśmy dalekie było od arkadyjskiej wizji powrotu do wczesnej młodości. Bohaterowie w swych nerwowych gestach przypominali niemal automaty, które nie potrafią przerwać pracy. I chociaż przedstawienie wydawało mi się za długie i trochę nużące, to pojawiające się tam obrazy bardzo mocno zapadły w mojej pamięci.

Jednym z najciekawszych spektakli zaprezentowanych na tegorocznej Klamrze była „Krótka historia kroku marszowego” Teatru Cinema. Motyw chodzenia został w tym spektaklu rozwinięty do rangi metafory: jako „dochodzenie do własnych celów”. Ale nie był to bynajmniej spektakl o „wyścigu szczurów”- bohaterowie mieli inne priorytety- tym, o czym marzyli było życie w zgodzie z własnymi pragnieniami. Różne były „fantazje” postaci, a odmienne sposoby chodzenia stanowiły odwzorowanie najśmielszych marzeń. Widzieliśmy więc geja, który gotów był wykonać wręcz akrobatyczne popisy żeby dotknąć obiekt pożądania, diabełek, któremu rosną uszy i dlatego bez problemu chodzi na rękach, mężczyzn, którzy zachwycaли się czerwonymi kwiatami. Równie plastycznych i zaskakujących scen było sporo. Momentami odnosiło się wrażenie, że oglądaliśmy pewien rodzaj balu, na którym każdy z bohaterów próbuje oddać ruchem własne marzenia, pokazać inaczej niż by to nakazywały standardowe figury taneczne, że nie ma nic przyjemniejszego, jak pozwolić kierować się własnym szaleństwem. Pomimo skromnych środków scenicznych sceny układały się w serie efektownie skomponowanych obrazów. W czerni sceny uwagę przykuwały czerwono-białe dodatki wieczorowych kreacji i starodawne lampy. Oglądałam sceny przypominające sen, ale mimo to odbierałam je jako coś bardzo mi znanego, bliskiego i dobrze znanego.

Poza poszukiwaniami formalnymi twórcy obecni na tegorocznym przeglądzie starali się zabrać głos na temat współczesności. Artyści Teatru Provisorium próbowali ukazać na scenie karykaturalny obraz Polaka- antysemitę, dewoty, lenia i megalomana. „Homo Polonicus” to spektakl interesujący pod względem aktorskim i scenograficznym, ale niestety dość niedopracowany dramaturgicznie. Przedstawienie jest zdecydowanie za długie, a nagromadzenie wulgaryzmów w pewnym momencie zamiast bawić (tudzież przerażać) okazuje się najprostszym sposobem aby utrzymać uwagę widowni. Pomimo zachwyty nad pomysłami inscenizacyjnymi: emitowanie audycji radiowej przypominającej przemówienia Ojca Dyrektora, wykorzystaniem manekinów, ciekawej gry światła, przedstawienie okazuje



się nużące i stereotypowe.

Ukazać czasy współczesne próbował również Piotr Tomaszuk w nowym spektaklu pt. „Marat-Sade”. Niestety, publiczność nie odczytała tych aluzji. Najnowszy spektakl Teatru Wierszalin jest świetnym popisem gry aktorskiej i wyobraźni plastycznej reżysera. Trudno jest jednak rozczuć w nim odniesienia wykraczające poza temat Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I chociaż byłam pod ogromnym urokiem pomysłów reżyserskich: wykorzystania wody na scenie, skonstruowania pojazdów scenicznych, rubasznego humoru, to muszę przyznać, że przedstawienie trochę mi się dłużyło.

O czasach współczesnych dużo więcej powiedzieli za to najmłodszy twórcy występujący na tegorocznej Klamrze: Teatr Prób oraz Teatr Krzyk. Pierwszy z nich zaprezentował spektakl pt. „Czarna skrzynka”, który za pomocą groteski, żywiołowej gry aktorskiej stanowi śmiałą wypowiedź na temat czasów współczesnych widzianych oczami osób, które wkraczają w dorosłe życie. Drug natomiast „młodzieżowy” zespół zaprezentował spektakl „Wydech”, który był jednym z najciekawszych przedstawień tegorocznej Klamry. I chociaż można by dyskutować na temat przygotowania warsztatowego aktorów czy spójności dramaturgicznej przedstawienia, to trudno jest nie docenić zaangażowania twórców. „Wydech” to przede wszystkim świadectwo pracy zespołu-wspólnych poszukiwań, odwagi do mówienia prawdy na scenie. Spektakl, który miał być próbą odpowiedzi na pytanie, jaką rolę w życiu bohaterów odgrywa ojciec, okazał się odważną psychodramą kilkorga młodych bohaterów. I chociaż gra aktorska jest czasem zbyt przerysowana, mieszają się stylistyki, to oglądając ich jestem przekonana, że wiedzą, po co wychodzą na scenę, że teatr jest dla nich przestrzenią wolności, przelamywania wewnętrznych barier i przede wszystkim miejscem spotkania z drugim człowiekiem.

Ująć widza na tegorocznej Klamrze starano się także poczuciem humoru. Teatr KTO zaprezentował komedię „Atrament dla leworęcznych”, która to była popisem zabawy gestem i słowem oraz kwintesencją wnikliwej obserwacji codzienności. To przedziwne połączenie teatru obyczajowego i kabaretu filozoficznego buduje spektakl, który nie tylko bawi, ale również zmusza do myślenia. Zupełnie inaczej wyglądało przedstawienie Porywaczy Ciał, których to „Correctomundo” opierało się na stereotypowych rozwiązaniach scenicznych, miało niedopracowaną dramaturgię i prezentowało prymitywne poczucie humoru. Odnosiłam wrażenie, że artyści postanowili poskładać zupełnie przypadkowe scenki tylko po to, żeby zająć uwagę widza przez te ponad dwie godziny. Zawsze zachwycały mnie w spektaklach

Porywaczy nietypowy humor, żywiołowość gry aktorskiej, rytm widowiska, a najnowszy projekt był niestety nieudaną próbą zbudowania „przebojowego widowiska” z urywków starych przedstawień. I chociaż publiczność dość żywo reagowała na to, co się dzieje na scenie (o czym świadczy otrzymanie przez Porywaczy Ciał nagrody publiczności), trudno było mi śmiać się z tandetnych dialogów.

Podsumowując tegoroczną Klamrę uważam, że przyjęcie zasady, aby prezentować różnorodne oblicza teatru niezależnego jest dobrym pomysłem. Gdybym miała wymienić trzy spektakle, które wzbudził we mnie szczególnie pozytywne emocje to byłyby to: „Krótka historia kroku marszowego” Teatru Cinema, „Atrament dla leworęcznych” Teatru KTO oraz „Wydech” Teatru Krzyk. Cieszy mnie, że organizatorzy tegorocznego przeglądu dopuścili do głosu „młodsze” zespoły, że spowodowało to istotny dialog na temat funkcji, jaką odgrywać ma teatr w życiu twórców oraz odbiorców. Z niecierpliwością czekam na następną edycję, podczas której (jak usłyszeliśmy podczas spotkania z publicznością) zaprezentowany ma być najnowszy spektakl ubiegłorocznego laureata – Teatru Kana.

XVII Alternatywne Spotkania Teatralne „KLAMRA 2009”

Od Nowa

Ojciec

Jeździ na Poprzeczną prawie każdego dnia. Wyciąga z paczki papierosa. Pali nerwowo patrząc na stos zwiędłych wieńców. Powrócił do palenia w czasie choroby ojca. Twierdził, że to pozwala mu się uspokoić. Teraz najczęściej pali właśnie na cmentarzu. Poprawia szarfy. Stoi tak dość długo. Mówi kilka słów głośno, jakby do siebie. Oczy mu się szklą. Wraca do samochodu.

Po śmierci pokój ojca pozostał w stanie nienaruszonym. Nic nie wyrzucił. Bał się cokolwiek przestawić. Nadal się go bał.

Ojciec umarł, nie musiał już mu zmieniać pampersów, nadwyręzać kręgosłupa dźwigając z łóżka na fotel inwalidzki. Śmierć zwolniła go z ciągłych oskarżeń. Ale ojciec mimo to nadal był. Był w nim, w domu, który razem budowali, dlatego strach nie znikał.

Dziś w nocy przyśniło mu się, że rozmawiał z ojcem o Dostojewskim. Nigdy nie prowadził z nim takiej rozmowy. Nie rozmawiali o tym co ojciec czyta, jakie książki lubi. Nigdy nie spytał jaką powieść kupić mu na święta. Ojciec czytał wieczorami o ile wrócił do domu trzeźwy. Zamykał się u siebie w pokoju i przy słabym świetle powoli czytał. Od czasu kiedy z bloku przeprowadzili się do domu jednorodzinnego miał własną sypialnię. Od dawna nie sypiał z matką. Starał to sobie tłumaczyć ich wiekiem. Teraz myśli, że powód musiał być inny. Myślał, że rodzice nigdy ze sobą nie sypali. Matka wydawała mu się nieświadomiona, aseksualna, pozbawiona cielesnych potrzeb.

Nie przestawił żadnej książki na regale, żadnej nie wziął nawet do ręki. Nie przeczytał tytułów powieści, ani nazwisk autorów. Po śmierci ojca kupił Biblię. Zaprzyjaźniona sąsiadka stwierdziła, że czytanie Biblii pomoże oswoić się ze stratą, pogodzić z bólem. Kilka lat temu podczas rodzinnej Wigilii śmiał się ironicznie gdy jego córka czytała fragment o narodzinach Jezusa w stajence. Teraz Biblia nie wywoływała



w nim śmiechu. Męczył się z każdym fragmentem. Ból nie ustępował. Nosił ją przy sobie jak talizman. Chciał zbliżyć się do Boga. I tak wylądowała na ceracie w kuchni podczas posiłków, w salonie na ławie obok pilotów i programu telewizyjnego. Przenosił ją z pokoju do pokoju, żeby przypominała mu o jego bólu. Woził ją na tylnym siedzeniu samochodu. Po kilku miesiącach leżała zapomniana na stole, pod pilotem od telewizora jak podkładka pod myszką od komputera.

W młodości zawsze czuł do ojca szacunek. Szacunek i dystans. W przeciwieństwie do niego, ojciec był wysokim przystojnym mężczyzną. Nawet choroba Alzheimera nie zabrała mu męskiego uroku. Nieświadomy świata siedząc całymi dniami na wózku inwalidzkim miał na twarzy pogardę do innych. Nadal był pewny siebie, wyniosły. Czasem wydawało się mu, że ojciec zrobił swoją chorobą na złość całej rodzinie, że celowo robi z ich życia piekło. Oskarżał go o umyślne sikanie do łóżka. Uważał, że ojciec symuluje bezwład w nogach, że celowo zdręcza go swoim ciężarem. Później żałował swoich myśli, dopadały go wyrzuty sumienia. Starał się je zabić dniami czulej opieki. Golił twarz ojca, mówił do niego ciepło obcinając mu paznokcie u nóg. Starał się nawiązać rozmowę. Wywoził na wózku do ogródka, karmił sezonowymi owocami, potem czyścił mu sztuczne zęby. Jego życie zamieniło się w pracę opiekunki, niani, matki. Tylko, że dziecko pod jego opieką było kapryśne, niewdzięczne, miało sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyło dziewięćdziesiąt kilogramów. Nie rozumiał dlaczego akurat na niego spadł ciężar opieki nad ojcem, ale czuł że nikt inny z rodziny tak się temu nie poświęci, nie włoży w to tyle cierpliwości.

Tylko, że jemu tej cierpliwości też zaczynało brakować. Wiedział, że gdyby ojciec był świadomy tego co się z nim dzieje, tego że jest tylko cieniem dawnego mężczyzny skończyłby ze sobą. Nie zniósłby ponizenia jakim było ubieranie go w pampersy, zakrywanie łóżka nieprzemakalnym, podbitym gumą prześcieradłem. Jego ojciec zawsze tak dumny, elegancki, pachnący, zadbany. Denerwowało go gdy prowadził chorego ojca do łazienki, a on nawet wtedy musiał zatrzymać się po drodze przed lustrem i poprawić włosy. Robił to resztkami świadomości, intuicyjnie. Nawet siedząc na wózku inwalidzkim lubił mieć przy sobie kieszonkowy grzebyk. Wyjmował go dość często z kieszeni koszuli i trzymając w trzęsących się, żyłastych dłoniach przejeżdżał po siwej głowie. To była ostatnia czynność, której nigdy nie zapomniał. Wiedział o tej słabości ojca, dlatego zadbał o to by grzebyk znalazł się w jego butonierce gdy ten leżał już w trumnie.

Zawsze starał się robić to czego oczekiwał. Starał się go nigdy nie rozczarować. Każdy wybór życiowy był pod potężną presją oczekiwań ojca. Wykształcenie, szkoła wojskowa, takie a nie inne małżeństwo. Bał się jego gniewu. Nigdy nie odważył się sprzeciwić, napyskować. Próbowal go naśladować. Problemy pojawiły się gdy okazało się to niemożliwe. Nie zawsze można być takim jak tatuś. Nie zawsze żona jest tak tolerancyjna jak mamusia. Nie należał do partii w latach sześćdziesiątych, żeby dorobić się, jak ojciec, własnego domku jednorodzinnego. Po przewrocie nazwisko ojca nie miało już takich wpływów. Nie miał już perspektyw na podobnie szybką karierę. To wszystko musiał sobie uświadomić.

Wózek inwalidzki ojca stał nadal w salonie. Czasem wskakiwał na niego pies. Wózek dostał po śmierci chorego sąsiada. Sąsiad Marian umarł kilka lat wcześniej. Zanim obaj zaczęli chorować byli dobrymi kolegami. Dzielił ich tylko plot. Kilka lat przed chorobą pokłócili się. Żaden nie chciał ustąpić. Widywali się każdego dnia, ale byli zbyt dumni żeby powiedzieć sobie „dzień dobry”. Nie mogli zdobyć się na przeprosiny. Któregoś dnia Marian przestał pokazywać się w ogródku, zaczął chorować. Jego pierwszego dopadła starość. Po kilkunastu miesiącach było już wiadomo, że umiera. Dopiero wtedy matce udało się namówić ojca, żeby odwiedził swojego starego przyjaciela. Mieszkali obok siebie ponad 20 lat, ale dopiero perspektywa śmierć kolegi przełamala jego dumę. Odwiedził go umierającego w swoim łóżku. Podali sobie dłonie. Później to ojciec zaczął chorować. Dostał od sąsiadów wózek inwalidzki po swoim przyjacielu, nie był już tego świadomy.

Parę razy w życiu czuł nienawiść do ojca. Nienawidził jego zawziętości. Ojciec nigdy nie potrafił się zdobyć na tolerancję. Nie potrafił zrozumieć jego potrzeb. Zawsze elegancko ubrany, krótko ostrzyżony, czystutki. Spalił w piecu jego wymarzone dzwony. Spodnie kupione za dolary w Pewexie, za pierwsze zarobione pieniądze. Powiedział krótko:

- Nie będziesz wyglądał jak ten głupek Niemen.

Koniec dyskusji. W ich domu nigdy nie było miejsca na dyskusję. Musiał zrezygnować z wymarzonych dzwonów i regularnie pozwalać strzyć się przez matkę. Nie mógł nosić dłuższych włosów tak jak jego kolezdy z technikum. Po szkole musiał wracać prosto do domu. Każde spóźnienie było odpowiednio karane.

W obecności ojca trzeba było zawsze uważać co i jak się mówi, jak je, jak stoi. Zawsze pilnować, nie czuć zbyt swobodnie. „Podstawą dobrego wychowania jest dyscyplina”, mawiał. Kiedyś, na Wigilię, powiedział:

- Nie będę siedział z nim przy jednym stole! – wstał, zabrał powoli swój talerz z potrawami świątecznymi i wyprostowany odszedł od stołu.

Nie pamięta czym go wtedy obrazil. Co było powodem tego, że nie był godny zjeść z nim karpia? Może pozwolił sobie na zanucenie kołędzy z pełną buzią? Może sprowokował jakąś miną? Nie pamięta co było powodem. Pamięta tylko smutną twarz matki, która patrzyła na niego z wyrzutem. Czuł się winny.

Ojciec lubił jeść w samotności. Często przyglądał się jak siedzący prosto wycina równe kształty z pieczywa. Rozkłada na stole drewnianą deskę i powoli robi sobie kanapki. Kromkę chleba dzieli wtedy na małutkie, równe kwadraciki. Wycina je ostrym nożem z pedantyczną dokładnością. Czasem gdy ojciec go zauważył wkładał mu do buzi kwadracik pieczywa i głaskał po głowie. Uwielbiał te chwile gdy siedzieli razem w kuchni i jedli kosteczki z dżemem lub polewą. Najczęściej milczeli. Nie przeszkadzało mu to. Cieszył się z każdej takiej spokojnej chwili. Uśmiechał się do taty z wdzięcznością.

Jego szczerzy, pogodny uśmiech zobaczył pierwszy raz dopiero podczas choroby. Uśmiech oddający wdzięczność. Już wtedy ojciec prawie nie mówił. Słowo, które wymawiał najczęściej z trudem brzmiało „dziękuję”.

Ojciec - wzorowy towarzysz, patriota, katolik. Pełen sprzeczności. Każdej niedzieli razem z rodziną na porannej mszy. Należał do partii, a przyjmował po kołędzie proboszcza. Od lat dziewięćdziesiątych, każdego roku 11 listopada wrzasał się oglądając w telewizji transmisję defilady Wojska Polskiego przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Ostatnio patrzył tylko nieobecny, obojętny wzrokiem w ekran telewizora i nic do niego nie docierało. Po jakimś czasie zasypiał w fotelu.

Utkwił mu w pamięci ubiegłoroczny lipiec. Jeszcze wtedy ojciec nie jeździł na wózku i z trudem się sam poruszał. Upalne dni kiedy ojciec ubierał się w mundur i służbowy zimowy płaszcz. Patrzył nerwowo na zegarek i mówił do niego, że musi pilnie jechać na dworzec. Pakował najbardziej potrzebne osobiste rzeczy i próbował wyjść z domu. Nie docierało do niego, że od dawna już nie pracuje. Twierdził, że musi być jeszcze dziś w Olsztynie, że zostały mu trzy lata do emerytury. W domu, który sam budował czuł się obco. Tęsknił do ludzi, wśród których cały czas był. Wspominał miejsca z dzieciństwa, ich poprzednie mieszkanie na Zatorzu. Nie poznawał ścian, które stawał. Nie poznawał twarzy własnych dzieci. Robił się agresywny, roztrzęsiony. Tłumaczenie nie pomagało. Rezygnował z podróży dopiero gdy brakowało mu sił. Raz udało mu się uciec z domu. Matka jak zwykle zaniedbała opiekę. Bardziej zajmowały ją telenowele

niż chory mąż. Leki i choroba nie pozwoliły mu daleko odejść. Sąsiad znalazł ojca półprzytomnego przy ogrodzeniu osiedlowego, spożywczego sklepu. Po tym wydarzeniu zawsze zamykali bramkę na klucz. Choroba ojca zmieniła całe jego życie. Pierwszy raz czuł się za kogoś tak odpowiedzialny. Przestał myśleć o swoich potrzebach. Jego plany były zależne od pory snu ojca, godzin wydawania leków, zmiany obsikanej pościeli. Przywykł nawet do zapachu parującego moczu. Ich dom zaczął śmierdzieć. Czuł to każdy wchodzący z zewnątrz. Przesiąkł zapachem chorego, starego człowieka. Znieczulił się na brzydotę ludzkiego ciała. Nie czuł już wstydu. Opieka nad ojcem pozwalała czuć mu się lepszym człowiekiem. Dowartościować się. Pierwszy raz był komuś tak potrzebny. Czuł, że robi coś użytecznego. Uważał, że opieka nad chorym usprawiedliwia jego wszystkie niepowodzenia. Tym tłumaczył się gdy wybuchał agresją na żonę i matkę.

Matka lubiła się znęcać nad chorym ojcem. Odbijała sobie za lata młodości gdy nie odważyła się mu przeciwstawić. Chory, bezbronny budził w niej sadystyczne odruchy. Bawił widok męża idącego na trzęsących się, zgiętych nogach z synem do łazienki. Parodiowała jego niezgrabne ruchy. Codziennie wieczorem „ćwiczyła pamięć” zadając mu różne pytania. Śmiała się jak mała dziewczynka gdy powiedział jakąś głupotę. Lubila mu wtedy wypominać błędy sprzed lat. Wiedziała, że może sobie na to pozwolić. Oskarżała o brak ciepła. Patrzyła z wyrzutem w nieobecne oczy. Ojciec w takich chwilach po prostu milczał. Nie umiał się bronić.

Przestawał rozpoznawać domowników, przekręcał ich imiona. Tylko imienia matki nie zapomniał nigdy, nawet zaczął je zdrabniać. Matka się do tego nie przyznała ale widać było, że cieszy się z tego wyróżnienia. Może dopiero wtedy zrozumiała, że całe życie ją kochał. Kiedyś spytała go wskazując palcem na syna:

- Kim on dla Ciebie jest?

Nie pamiętał imienia. Odpowiedział powoli:

- Moim opiekunem.

Nigdy więcej nie zadawała pytań. Przestała się śmiać. Jemu też to wystarczyło.

Listopad 2008



Milena Maćkowiak – ur. w 1987 r., urodziła się i mieszka w Olsztynie, studentka filologii polskiej UWM. Swoją prozę czytała na spotkaniu z serii NPO – „Najmłodszy Piszący Olsztyn”. Prozę publikowała w „Portrecie” i na stronie internetowej minimalbooks.blox.pl.



PORTRET ONLINE 52 - MAJ 2009



PORTRET ONLINE 52 - MAJ 2009

